

Anna Prystupa  
Klasa VII  
Szkoła Podstawowa  
im. Stefana Żeromskiego  
w Nieleddwi

Konkurs historyczny  
**“Historia mojej małej Ojczyzny.  
Wspomnienia o żołnierzach SZP-ZWZ-  
AK Inspektoratu Zamość oraz ich  
powojenne losy”**

Martyniuk Stanisław – BCH – AK ps. Szczygieł – Wiklina (Nieledew)

Wspomnienia te jako dalszą część poprzednich, które sobie jeszcze przypomniałem, poświęcam czasom przed wojną, w okresie II wojny światowej i po wojnie.

W mojej wiosce Nieledew było dużo partyzantów – moich kolegów i starszych. Podobnie było w Zadębcach i Trzeszczanach, gdzie też mieliśmy kolegów i koleżanki albo rodziny. Kobiety przechodziły szkolenie na sanitariuszki.

Jak się spotykaliśmy czy chodziliśmy na warty od Ukraińców, na wypadki nocne albo jak UB i NKWD krążyła po okolicy, jak przyszli Niemcy czy Sowiecki to kobiety wiedziały lub domyślały się o takich akcjach, w których brali udział mężczyźni.

Pamiętam, jak szły oddziały partyzanckie na pomoc Warszawie i jak był wspólny napad AK i UPA na Hrubieszów, na NKWD, na Urząd Bezpieczeństwa, Milicję, Partię. Obecnie jest to muzeum.

Pamiętam też jak było spotkanie przed wypadem na Hrubieszów. W gospodarstwie u mojego starszego o sześć lat brata Janka Martynika, pseudonim Lis i Dąb. Na tym spotkaniu byli partyzanci Armii Krajowej i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) – Banderowcy i tam razem debatowali. Mój brat Janek, gdy się ożenił, to przeszedł na swoje. A ożenił się z Maryską u Poteruchów w Trzeszczanach., od głównej drogi za kościołem, na drugiej leni. Wszyscy, którzy tam mieszkali, należeli do partyzantki AK, później do WIN. Tam spotykali się partyzanci, dowódcy. Tam był sztab. Tam było duże gospodarstwo. Dwaj bracia Maryśki – żony brata Janka, byli w żandarmerii AK. Wykonywali wyroki. Jeden z braci- Witek, miał pseudonim Szczerbaty, ponieważ pewnego razu miał gdzieś w Urzędzie Gminy spotkanie czy został zatrzymany przez Niemców i doszło do starcia i nie chciał dać się złapać. Niemiec wybił mu zęby, ale on chwycił, że stołu, biurka czy szafy lampę naftową, wyrwał broń i zaczął strzelać. Uciekł, z tego co pamiętam przez okno, czy z tego czy drugiego pomieszczenia przez drzwi. Bał się, że spotka Niemców, to był odruch i szybkie myślenie i strach, że złapią i zabiją. Został później przez UB uwięziony na Zamku Lubelskim. Jeździłem do niego z bratowa Maryską, udało się załatwić, żeby się zobaczyć. Był torturowany, zawieszony, miał wkładane szpilki, igły pod paznokcie u rąk i nóg i został zamordowany.

Witek był przez pewien czas po wojnie dyrektorem- kierownikiem POM-u w Nieledwi.

Miał narzeczoną Urbaińską, która przez wiele lat po wojnie, aż do emerytury, pracowała w tym zakładzie POM-ie (obecnie Zakład Mechanizacji Rolnictwa w Nieledew). Urbańska za mąż nie wyszła, chociaż byli w sobie zakochani. Wojna i UB wszystko zniszczyła i przekreśliła. Działania z przeszłości zmusiły go do ucieczki. Uciekał na Zachód, potem do Białogardu., tam, gdzie mieszkał jego brat Heniek i tak go złapali. Po nim kierownikiem POM-u był Gorajski. Heniek też był partyzantem AK i WIN. Po wojnie ożenił się, miał dzieci i mieszkał w Białogardzie. UB go szukał cały czas, aż go znaleźli i zastrzelili przy furtce domu. Tacy, jak Witek i Heniek byli dla nich groźni i niebezpieczni, dlatego byli cały czas szukany. Chociaż pojechali daleko i niby nikt nie wiedział, gdzie, a jednak ich dopadł.

Był jeszcze jeden brat Janek- w Trzeszczanach, który też należał do AK. Mieli oni siostrę Zuzię. Wyszła ona za Kulawczyka, który był nauczycielem. W partyzantce działały też rodziny Psujów i Kuterów, które były wspólnymi rodzinami Poteruchów i Kowalcuków. Tam potrafili przekupić Niemców, poczęstować ich, u gościć, dać produkty żywnościowe – jajka, ser, masło, smalec, słoninę, tłuszcz.

Na tamte czasy gospodarstwo Poteruchów było duże, ładne. Trzymali świnie, kury, króliki, gęsi, kaczki, kozy. Obora była połączona z domem. Nawet największe ulewy, burze,

mrozy, zimna, śniegi nie trzeba było wychodzić na zewnątrz. Wszystko było przygotowane na wyskach, na strychu, a i stodoła była blisko. Zabudowa ta jest do dzisiejszego dnia. Zuzanna Kulawczyk zmarła niedawno, w 2018 roku. Miała niecałe 101 lat.

Partyzanci, który tam działali, potrafili zdobyć broń, kogoś uwolnić czy uchronić od wywózki, załatwić jakiś papier, uchronić od kontyngentu i od aresztowania, bo się dowiedzieli co się dzieje. Wszystko się skończyło jak była bitwa w Trzeszczanach (w lasach trzeszczańskich i chyżowickich). Było dużo zabitych i rannych, dużo aresztowań. Kiedyś u nas stacjonował i mieszkał na kwaterze Niemiec Albert, który był kierowcą. Jego samochód stał na podwórku. To był porządny Niemiec. Nie wierzył w zwycięstwo Hitlera, chciał wrócić do domu, pojechał na Wschód. Nawet napisał list do mojego brata Janka, a później już nie dawał znaku życia. Nie wiadomo, co się z nim stało.

Tak samo po sąsiedzku, u Antoniuków stacjonował z samochodem inny Niemiec. U innych gospodarzy, sąsiadów było tak samo.

Po sąsiedzku nas mieszkała kiedyś Żydówka Szaicha, która miała sklep. W nim można było kupić sól, naftę, kiełbasę suszoną, kaszę, cukier, mąkę, zapalki i inne rzeczy. Produkty pakowała w papier. Wszystkiego już nie pamiętam. Jej brat Szaja też handlował, mieszkał, gdzie obecnie jest mieszkanie Wójcików w Nielewki. Wszyscy Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi żyli tu w zgodzie. Jak trzeba było to i pożyczyl i na kredyt coś dali. Kiedyś przyszedł do ojca Żyd Szyjka i mówi:” Michale, czy zawieszysz mnie koźmi do Hrubieszowa i Werbkowic i jeszcze gdzieś dalej, ale już nie pamiętam, gdzie, pewnie po jakiś towar. Ojciec musiał się zgodzić, wziął mnie i pojechaliśmy. Tam trzeba było przenocować. Szyjka miał znajomych. Konie zaprowadziliśmy do stajni, dawaliśmy im jeść i sami poszliśmy na kolację i spać. Rano przychodzi Żyd Szyjka i mówi: - Michale, wasz jeden koź się nie rusza, coś mu się stało. Poszliśmy szybko zobaczyć, rzeczywiście koź padł. Pomyśleliśmy, że może go struli, bo tak się zdarzało w tamtych czasach. I coś takiego mogło być, bo koź był zdrowy, odżywiony i zaprawiony do roboty i podróży. Żyd Szyjka poszedł gdzieś, chyba do Werbkowic do znajomego i przyprowadził ojcu konia w zamian nic nie chcąc, tylko żeby dołączył do pary i można było jechać dalej i wrócić do domu. Nieraz go jeszcze woziliśmy, ale nigdy nie chciał zapłaty za konia. Czuł to jakoś, że pojechaliśmy w jego sprawie i to się stało, bo może u nas w obroże by do tego nie doszło. Chyba, że ktoś coś do niego miał.

Żydzi przeważnie zajmowali się handlem. Często w sobotę trzeba było im rozpałić ogień, przynieść dwa czy coś wykonać innego, bo im nie wolno było tego robić w święto w Szabat. Często chodzili pieszo i mieli towar w worku i tak wędrowali od wioski do wioski, od domu do domu. Prosimi, żeby coś kupić.

Była granatowa policja, która współpracowała z Niemcami, ale niektórzy współpracowali też z polską partyzantką. Posterunek był w Moniatyczach. U nas był taki policjant Kłapeć czy Kłapyć, który mieszkał w Leopoldowie i miał tam trzy morgi ziemi. Później przenieśli go chyba gdzieś dalej w lubelskie.

Była u nas też Ochotnicza Straż Pożarna, do której należałem. Powstała ona w 1918 roku. W tym roku będziemy obchodzić 100-lecie straży.

Po II wojnie światowej zbudowano nową remizę strażacką po drugiej stronie ulicy, przy placu dawnej cerkwi unickiej i prawosławnej, gdzie był też cmentarz. Przy budowie naruszono trochę to miejsce, dlatego mieszkańcy mówili, że z tej przyczyny nie udają się zabawy i spotkania w tym miejscu, bo zawsze pada i są burze, a i z okolic niezbyt chętnie przyjeżdżali. Dopiero, jak budowano w tym miejscu kościół i został poświęcony plac, remiza została rozebrana, a ksiądz Aleksander Mischak, proboszcz i budowniczy, pobierał z ludźmi

te szczątki ludzkie, poświęcił i pochował w miejscu budowy kościoła i odprawił msze święte, wtedy się uspokoiło.

Braliśmy udział w uroczystościach religijnych i państwowych. W straży najpierw były wozy konne, ręczne sikawki, bosaki, topór. Mieliśmy mundury. Nieraz były potrzebne haki i widły, łopaty. Później już były ciągniki, motopompy i wreszcie samochód. Jak zrobiono różnicę między nami Polakami katolikami i i Ukraińcami prawosławnymi (trafiali się też Rosjanie, Litwini, Łotysze) zaczęto sobie wybijać szyby w oknach, doprowadzając do niezgody i nienawiści. A najgorsze nastąpiło chyba w 1938 roku, kiedy zaczęto burzyć palić cerkwie. Było tak u nas, było w Zadębcach i innych wioskach. Byliśmy często powiązani rodzinnie, jedni z drugimi spotykali się, pomagali, chodzili do siebie na Święta Bożego Narodzenia i Święta Wielkanocne. Najpierw, u których według kalendarza wypadły pierwsze, a czasem się pokrywały. Zdarzało się, że pobierali się między sobą, byli chrzestnymi. Tę nienawiść wnosili banderowcy z UPA i OUN. U nas w Nieleddwi, Zadębcach i innych miejscowościach, z tego co wiem, to ta zaraza szła z Buga. Tam było i tworzyło się to zło przez dostarczanie ulotek i pism, podburzanie do nienawiści, niezgody, kłótni. Myśleli, że jak się pozbędą Polaków, a cały czas płynęło takie zapewnienie, to będą mieli swoje wioski i Samostijną Ukrainę. Jak powstała akcja „Wisła”, mająca a celu przesiedlenie ludności Ukraińskiej z terenów Polski wschodniej na tereny dawnej Rzeczypospolitej (Wołyń) zajęte przez Związek Radziecki, gdzie została utworzona Republika Ukraińska, to żołnierze Ludowego Wojska Polskiego, Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego przy pomocy NKWD, UB, MO zaczęli wywozić za Bug, a z innych terenów na zachód. Później dowiedziałem się, że w tej akcji brał udział porucznik Wojciech Jaruzelski, który był dowódcą zwiadu i stacjonował w pułku w Hrubieszowie. Pamiętam, że w Fabryce Konserw i Warzyw w Nieleddew, którą przejęli Niemcy (Gajzer z Hamburga) to już robiono sabotaż, może nie na dużą skalę, ale próbowano na przykład opóźnić produkcję. Brali w tym udział z Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Działaniami tymi kierowali Lachowski (AK) i Wacław Daruk (BCH potem AK). Ja byłem z majstrem Majdrem przy maszynach i dostawie prądu.

W Fabryce całe pomieszczenie i ściana pełna urządzeń i maszyn była pod ścisłą kontrolą Niemców, a nas szczególnie pilnowali Własowcy (żołnierze w służbie Niemcom).

Przynależność do Rycerstwa Niepokalanej i prenumerata Rycerza Niepokalanej jest w naszym domu ciągle kontynuowana. Cieszymy się, że już sto lat jesteśmy razem i nasz dom z Maryją Niepokalaną Panią Jasnogóorską - patronką żołnierza polskiego i partyzanta polskiego. Zakon Franciszkański jest nam bardzo bliski jak i jego założyciel św. Franciszek z Asyżu, który w Imię Boże, w Imię Trójcy Przenajświętszej, pomaga nam pokonywać trudności i czynić pokój i dobro.

Mam w pamięci wiele spotkań z żołnierzami - partyzantami z AK i BCH. Do miejsc pamięci poległych partyzantów jeździłem jak mogłem blisko czy dalej – do Trzuszczan, Drogojówki, Korytyny, Ostrówka, Gdeszyna, Grabowca, Lasowic, Skierbieszowa, Hrubieszowa, Werbkowic, Uchań, Mircza, Kryłowa, Ameryki, Zwierzyńca, Józefowa, Bondyrza, Osuch, Krasnobrodu i inne. I tak co roku widziałem coraz mniej znanych mi osób. Teraz na te spotkania jeżdżą prezes naszego koła w Trzuszczanach Irena Olszewska - córka żołnierza - partyzanta Stanisława Skowry, Józef Psiuk (jego rodzice również byli partyzantami), Stanisław Wojczuk (był wcielony, zmuszony do pracy w obozach, w kopalniach na Śląsku, uciekł, siedział w więzieniu), Koczolap (jej rodzice należeli do AK), Borkowski Franciszek (należał do AK).

W uroczystościach poświęconych pamięci partyzantów często bierze udział moja synowa Wiesława Martyniuk. Jeździ też na koncerty Reprezentacyjnego Zespołu Wojska Polskiego z Warszawy, które są skierowane do żołnierzy AK oraz sympatyków. Wozi ich i uczestniczy w tych spotkaniach Romek Zajac z Trzeszczan (ma Sklep Ogrodowy w Trzeszczanach).

W czasie wojny miałem karabin znaleziony po żołnierzach z września 1939 roku, którzy uciekając przed Niemcami, później Sowiecami, musieli się ukrywać, często przebierać się, żeby się wydostać i wrócić szczęśliwie do domu. Broń można było znaleźć w sadach, na polu, w zabudowaniach i innych miejscach, nawet w stawach. Później staraliśmy się ją zbierać i ukryć. Znaleziony karabin oddałem dla partyzanta AK mojego kolegi Mietka Soroki. Ja miałem już pistolet maszynowy (szóstkę), później VISA. Przy ujawnieniu jakąś sztukę broni oddałem, bo resztę się chowało. Jakiegoś tam obrzynka albo stary karabin, a takie były nawet z I wojny światowej (taki z bagnetem spiczastym) dobrze już nie pamiętam, ale miałem taki karabin, nazywał się Mauzer.

Partyzant Kazimierz Kurzawa był dowódcą plutonu. Był bardzo odważny, dostarczał mi zapalniki, żebym robił granaty, materiały wybuchowe. Oczywiście sam tego nie montowałem, oni mieli doświadczenie z wojska, miałem smykałkę do majsterkowania, a przy tym trzeba było naciąć kawałków metalu, gwoździ, szrapnele (często były takie do podkuwania koni). Czasem musiałem to żelastwo gdzieś znaleźć, z fabryki było trudno, ale czasem udało się jakiś drobiazg ukryć. Były rewizje, kontrole.

To już kiedyś mówiłem - jak były niemieckie magazyny z paliwem w Chłopskim Lesie w Nieleddwi, które były solidnie obstawione. Była warta, wykopy ochronne w ziemi, a ja z kolega Henkiem Brodzkim poszliśmy tam czołgając się i jakimś cudem udało się nam wyciągnąć po 2 kanistry paliwa. Zrobiliśmy to na swój rachunek, ale to była głupota, jaką trudno opisać narażając siebie, rodzinę, bliskich, sąsiadów, naszą ulicę, nie mówiąc o wiosce, przecież to były magazyny paliwa przeznaczone na front wschodni. Nie było żartów! To, że się udało, nie wiem do dziś, jakim sposobem. Więcej nigdy już tego nie zrobiliśmy. Zresztą nie wolno nam było, to była samowolka. W oddziale byli ludzie, którzy realnie i trzeźwo myśleli. Zresztą na naszym terenie w partyzantce była dyscyplina. Zdarzały się przypadki, gdy ktoś zły podszywał się pod partyzantów albo będąc partyzantem dopuścił się napadu i kradzieży na ludzi i ich dobytek, więc został ukarany. Nawet były kry śmierci. To była wojna, nie dość, że Niemcy i Sowieci, później banderowcy z UPA i OUN, to jeszcze i swoi działali przeciwko swoim. Tu nie było litości.

Tam, gdzie mój brat Janek się ożenił u Poteruchów w Trzeszczanach na kolonii pod lasem często przebywali partyzanci, dowódcy partyzantki, nie tylko od nas i innych miejscowości a nawet z Warszawy. Cała moja rodzina należała do partyzantki. Mnie znali, bo tam jeździłem i to było normalne, że się tam pojawiałem i dostarczałem wiadomości. Raz miałem taki przypadek, gdy po mszy świętej stałem koło kościoła a jeden z tych oficerów AK - młody i elegancki mężczyzna podszedł do mnie i uderzył mnie w twarz, mówiąc o co mu chodzi (nie pamiętam już co wtedy przeskrobałem albo powiedziałem) później już było wszystko w porządku, tak jakbym tej sytuacji nie było. Pomimo, że tam przychodziłem i mnie znał, to mnie w taki ostry sposób zwrócił uwagę. Pamiętam jak dziś - jak miał kołnierzyk od koszuli rozchylony a na szyi łańcuszek z krzyżykiem a na krzyżyku orzeł w koronie. Co jakiś czas zawsze sobie coś przypomnę.

Jak mi się spalił dom i budowałem się, to mój teść Józef Sarzyński zrobił mi cały dach na mieszkaniu. Był wesoły, lubił pożartować, pośpiewać i grał na harmonii guzikówce. Kiedyś do niego, do teściów w nocy czy nad ranem albo o innej porze (już nie pamiętam) przyszedł

nasz partyzant z AK Marian Borys - mój kolega, z pistoletem maszynowym. Był ranny i chciał, aby udzielić mu pomocy. Po drugiej stronie ulicy jak się jedzie z Nieleddwi na Hrubieszów, było pole moich teściów. To pole otrzymała moja żona Czesława. Przy polu była łąka i studnia i właśnie tam Marian Borys postrzelił się i przyszedł po pomoc, ale niestety nie udało się go uratować.

Opowiedział mi Wacek Daruk, który był w BCH i szkolił kobiety w Ludowym Związku Kobiet, że był taki przypadek w Nieleddwi, jak jakiś Niemiec podał dziecku cukierka a później to dziecko zastrzelił. Gestapo w Nieleddwi stacjonowało we dworze tam, gdzie byli dziedzi. Oni współpracowali z AK, Niemcy i Własowcy byli w Fabryce Konserw i Warzyw w Nieleddwi. W Trzeszczanach Niemcy byli w Pałacu, tam koło POM'u. Jeździli do Zadębiec, gdzie mieli uprawy kartofli, warzyw i zboża. Były one za fabryką, na koloniach i to już wchodziło w Zadębce. Gospodarstwem kierował Bogusławski i jeszcze ktoś, ale teraz nie pamiętam, może sobie przypomnę. U nas i w Zadębcach były dobre ziemie do uprawy. Do Zadębiec była droga polna a do fabryki Gajzera Niemcy położyli i zrobili drogę z drewna. Do Zadębiec często chodziłem, jeździłem rowerem, koniem albo wozem z końmi przynosząc albo odbierając wiadomości od partyzantów, dowódców. BCH, później AK – Wilkosa Bronisława i Błaszczuka chyba Henryka. Na kolonii tam, gdzie mieliśmy kiedyś pole mieszkał w tym miejscu Jowdiuk – Ukrainiec Prawosławny, który był diakonem - czytał i śpiewał w cerkwi. Miał on chorą, niepełnosprawną córkę, która cały czas leżała w łóżku.

Po wojnie zboże kosiło się kosami, sierpami, później miałem żniwiarkę, a potem snopowiązałkę. Zboże młóciłem maszyną, do której miałem motor ESKA. Był ciągnik BUDO CO – URSUS C45, była 40-stka, później C330M. a wcześniej pracowałem końmi.

W domu wieczorami siedzieliśmy przy świecach, lampie naftowej, ale to już było coś i trzeba było oszczędzać. Otwierało się drzwiczki od kuchni i już było jaśniej i cieplej. Paliliśmy drewnem. Przychodzili sąsiedzi czy z rodziny i jak to się mówili opowiadali bajki lub wieści z Polski, ze świata a najwięcej, co się u nas dzieje. Kto tam posłyszał od nauczyciela, nauczycielki jakiegoś opowiadania, to później mówił. Jeżeli ktoś umiał czytać, to czytał z książki. Czasem opowiadali o duchach i i trochę straszili a później się bali wyjść na dwór. Była u nas w Nieleddwi nauczycielka Szponówna. Była dobrą nauczycielką. Uczyła również języka niemieckiego. Moja żona jak chodziła do szkoły to uczyła się niemieckiego i bardzo dobrze go znała i później po wojnie nieraz coś mówiła po niemiecku.

Tutaj po sąsiedzku mieszkał Franciszek Kurzawa, który miał takie radio, że zarzuciło się kabel jako taka antenkę na gałązkę, słuchawki na ucho i słuchaliśmy wiadomości. Franciszek był dobrym myśliwym i wartownikiem, lubił chodzić po nocy, ale zawsze miał w kieszeni piasek albo sól jakby go łapali Niemcy lub Sowiecie, albo granatowa policja to sypał po oczach i uciekał. Już mu tak się udawało. Brał często udział w akcjach. Na roboty nigdy Niemcom nie udało się go wywieźć, zawsze uciekał, nawet już z wagonu.

Czasem trzeba było Niemcom służyć podwodami (tzn. podwozić coś końmi), tu na miejscu lub w kierunku wschodnim. Czasem nie było innego dojazdu. Mój ojciec Michał zawędrował raz aż za Kijów, raz jechał gdzieś tędy jak Uściąg, Sokol, Włodzimierz, Lwów, Łuck. Zostawił konia i wóz, musiał dostać się z powrotem, ale bał się przychodzić, bo co matka powie. Matka powiedziała - niech przychodzi i wraca.

Tęsknił do żony i dzieci, chciał wrócić wcześniej, ale było niebezpiecznie. Żeby załatwić sprawę trzeba było do Niemca zanosić jajka, masło, mleko, śmietanę, słoninę, wędlinę, gęsi. I tak co jakiś czas nosiło się to, co było. Oni to lubili, chodzili po ludziach i zbierali, kupowali.

I sprawa poszła w zapomnienie.

Jednego razu u nas w Nieleddwi spadł samolot na łąkę. Było to w czasie II wojny światowej. Wtedy szczególnie młodzi lecieli zobaczyć. Starsi próbowali z tego materiału wytapiać tyżki i inne rzeczy. Sprzęt wojskowy poniewierał się w różnych miejscach. Leżały mundury, broń, uprząż na konie, siodła, wozy, hełmy, czapki, buty. Ludzie to zbierali i chowali albo dawali żołnierzom cywilne ubrania czy jakieś łachmany. Po wojnie był to częsty widok. Nawet moi synowie pamiętają, jak gospodynie domowe w niemieckie albo sowieckie hełmy sypały pszenicę i karmiły kury, kaczki, gęsi. Nalewały też wodę i tak to stało w hełmach na podwórku. Natomiast gospodarze do hełmów sypali owies i nosili koniom obrok. Była to dla nich taka miarka. Długo to trwało i zamiast zachować te rzeczy czy oddać do muzeum – oddawali na złom. Do gorzelni w Leopoldowie jeździliśmy po spirytus. Woziliśmy go w beczce. W jednej z ksiązek poświęconej tym czasom i naszym terenom jest to opisane. Pani Pawłowska Izabela rozprawiała te książki. Tytułu i autora nie pamiętam. Rodzice Pawłowskiej mieli na nazwisko Muda. Oni również należeli do partyzantki.

Leczenie było takie proste - ziołami, zmawianiem. Były kobiety, które się na tym znały. Moje babcie też były takimi znachorkami, znały się na ziołach. Moja babcia Daria nawet odbierała porody. Dzieci kiedyś było więcej i jedno drugiego pilnowało. W gospodarstwie było mnóstwo roboty, obrządki. Paśliśmy krowy, chodziliśmy w pole, na łąkę. Moja żona Czesława jak szła na łąkę, to w pierw jednego syna Henryka, później Stanisława albo jednego na plecy, a drugiego za rękę i pieszo kilometr albo dwa i więcej szła na łąkę grabić i przewracać siano. Niosła jeszcze widły i grabie, bo ja w tym czasie miałem inną robotę. Takie były czasy, tak ludzie się dorabiali, nie było łatwo.

Pamiętam jeszcze, jak z Józkiem Harasymiukiem z AK chowaliśmy się przed UB w kaplicy na cmentarzu w Trzeszczanach. Kiedyś było inaczej, czasy były skromne. Jak jeden z moich kolegów Harasymiuków Józik albo Stach (bo byli jeszcze Janek i Szymon, wszyscy należeli do AK), w każdym bądź razie któryś z nich, jak wioził dziewczynę na rowerze na ramie to ksiądz powiedział o tym z ambony.

Dużo zrzuconych u nas z samolotów bomb nie wybuchło. Ludzie zbierali i zakopywali. U nas koło sadu było sporo bomb. Niemcy strzelali z samolotu, wtedy trzeba było uciekać. Jak szedł front i strzelała artyleria i z karabinów, to my i inni ludzie nie wiedzieliśmy, gdzie mamy uciekać i chować się. Moja żona Czesława uciekała aż do Zadębiec.

Kierownikiem szkoły w Nieleddwi był Jan Koszuta – partyzant AK. Jeden z jego braci też był partyzantem. Miał pseudonim Czarna Strzała. Spotykaliśmy się często. Spotykałem wielu partyzantów i dowódców jak Ciąg - Śmiech, któremu ostatnio był poświęcony film czy partyzant Warda. Innych wymieniałem poprzednio, jak znany dowódca Bartoszewski – ps. Wir, profesor Majewski z Krakowa – kolega z AK. Rozpoznał mnie kiedyś, jak byłem na wycieczce w Krakowie. Niby przypadek a nie przypadek, że spotkaliśmy się po latach w tak dużym mieście. Później często spotykaliśmy się na uroczystościach. Najwięcej w Osuchach i u nas. Pisał do mnie listy i kartki.

W czasie wojny robiono schrony. Mój ojciec Michał zrobił schron przykryty obornikiem. Był on na podwórzu, a drugi za sadem na łące w starej, płytkiej studni. Chowaliśmy się tam przed Niemcami, Sowietami, UB, jak były naloty. Ukrywałem się też u rodziny mamy – rodzonej siostry, która mieszkała w Wilkowie koło Werbkowic. Mieli tam schron za budynkiem, na łące w stronę Werbkowic. Był tam wujaszek, który służył przymusowo w carskim wojsku sporo lat. Potrafił on doradzić i pomóc, jak taki schron zrobić.

Raz Niemcy tak zbili naszego sąsiada Wincentego Wojtiuka za spóźnienie z dostawą kontyngentu czy za ociąganie w podwożeniu Niemców i ich sprzętu, żywności na wschód do różnych miejsc. Stamtąd zabierali dalej koleją albo samochodami czy końmi. Po tym pobiciu Wincenty stracił słuch i już nigdy go nie odzyskał.

Pamiętam jeszcze takich partyzantów AK jak Rak (był na Monte Cassino), Mieczysław Kociach, Jan Kociach, Jan Tryl, Wacek Tryl.

Jak coś sobie przypomnę, to opowiem innym razem, może taka myśl przyjdzie i będę mógł się podzielić naszym życiem i naszą historią.